

ŚWIĄTYNIA

MANUSKRYPT ZNALEZIONY U WYBRZEŻY JUKATANU



Dwudziestego sierpnia 1917 roku, ja Karl Heinrich, hrabia von Altberg-Ehrenstein, komandor porucznik Cesarskiej Niemieckiej Marynarki Wojennej i dowódca okrętu podwodnego U-29 wrzuciłem butelkę i tę kronikę do Atlantyku, w miejscu mi nie znanym, lecz prawdopodobnie było to na dwudziestym stopniu szerokości geograficznej północnej i trzydziestym piątym stopniu długości geograficznej zachodniej, gdzie statek mój spoczął uszkodzony na dnie oceanu. Uczyniłem to, ponieważ pragnę ujawnić opinii publicznej pewne niezwykle fakty. Prawdopodobnie nie przeżyję, nie będę więc w stanie uczynić tego osobiście, sytuacja bowiem stała się tyleż niebezpieczna, co niezwykła i składa się na nią nie tylko niemożliwa do naprawienia usterka U-29, ale również złamanie mej żelaznej, niemieckiej woli w sposób zaiste przerażający.

Po południu, osiemnastego czerwca, jak donosiliśmy telegraficznie na U-61, zmierzając w kierunku Kieł, storpedowaliśmy brytyjski frachtowiec „Victory” płynący z Nowego Jorku do Liverpoolu na czterdziestym piątym stopniu szesnastej minucie szerokości geograficznej północnej i dwudziestym ósmym stopniu trzydziestej czwartej minucie długości geograficznej zachodniej, zezwalając załodze na zejście do szalup, aby cała nagrana przez nas operacja wypadła jak najlepiej w archiwach admiralicji.

Statek zatonął dość spektakularnie, najpierw poszedł pod wodę dziób, rufa uniosła się niemal do pionu, podczas gdy kadłub stopniowo zaczął pogrążyć się w odmętach. Nasza kamera niczego nie przeoczyła i żałuję, że rolka tak dobrego filmu nie dotrze nigdy do Berlina. Potem za pomocą działek pokładowych zatopiliśmy łodzie ratunkowe i zanurzyliśmy się.

Kiedy ponownie wyszliśmy na powierzchnię, przed zmierzchem, na pokładzie odkryto ciało marynarza. Jego dłonie w osobliwy sposób zaciskały się na relingu. Biedaczysko był śniadym, dość przystojnym młodzieńcem, prawdopodobnie Włochem lub Grekiem, i niewątpliwie należał do załogi „Victory”. Najwyraźniej szukał schronienia na okręcie, który unicestwił jego własny, ot, jeszcze jedna ofiara niesprawiedliwej wojny zaczepnej, podczas której angielskie świnie dybią na nasz Vaterland. Nasi ludzie przeszukali go w nadziei znalezienia pamiątek i w kieszeni bluzy natknęli się na bardzo dziwną statuetkę z kości słoniowej przedstawiającą głowę młodzieńca umajoną liśćmi laurowymi. Mój podkomendny, porucznik Klenze, uwierzył, że przedmiot ów był antykiem ogromnej wartości, toteż zabrał go znalazcy i zatrzymał dla siebie. Nie potrafiłem pojąć, w jaki sposób prosty marynarz mógł stać się posiadaczem czegoś takiego.

Kiedy trupa ciśnięto za burtę, zaszły dwa wypadki, które wzbudziły spore zakłopotanie wśród załogi. Młodzieniec miał oczy zamknięte, lecz gdy ciało jego wleczono w stronę relingu, otworzyły się, i wielu doznało osobliwie niepokojącego wrażenia, że niezłomnie i drwiąco spojrzały na pochylających się nad zwłokami Schmidta i Zimmera.

Bosman Müller, starszawy mężczyzna, który gdyby nie był przesadną alzacką świnia, na pewno tak by się nie zachował, od tej chwili, dogłębnie poruszony i podekscytowany, obserwował wrzucone do wody ciało i zarzekął się, że w momencie gdy pogrążyło się w falach, przybrało pozycję pływacką i śmignęło pod falami na południe. Klenze i ja nie przyjęliśmy pochlebnie tak jawnego przykładowi wieśniaczej ignorancji i ukaraliśmy ludzi, zwłaszcza Müllera, srogą reprimendą.

Następnego dnia wskutek niedyspozycji kilku członków załogi powstała dość krępująca i uciążliwa sytuacja. Ludzie

wyraźnie cierpieli na napięcie nerwowe wywołane trudami długiego rejsu i miewali senne koszmary. Kilku wydawało się dość oszołomionych i ogłupiałych, kiedy zaś przekonałem się, że nie symulują, zwolniłem ich z obowiązków. Morze było raczej niespokojne, toteż zesliśmy na głębokość, gdzie fale mniej dawały się we znaki. Znaleźliśmy się na względnie spokojnych wodach, mimo nieco zagadkowego południowego prądu, którego nie odnotowano na naszych mapach oceanograficznych. Najbardziej drażniły nas wszystkich jęki chorych, jednak nie wpływały demoralizująco na resztę załogi, nie podjęliśmy więc bardziej drastycznych środków. Planowaliśmy pozostać tam, gdzie byliśmy, i przechwycić liniowiec „Dacja” wzmiankowany w informacji od naszych agentów z Nowego Jorku.

Wczesnym rankiem wynurzyliśmy się i stwierdziliśmy, że morze jest mniej wzburzone. Na horyzoncie na północy unosił się dym jakiejś morskiej bitwy, ale my, znalazzszy się w dostatecznie dużej odległości i mogąc się szybko zanurzyć, byliśmy bezpieczni. Najbardziej niepokoiła nas paplanina bosmana Müllera, która z nadejściem nocy stała się bardziej zajadła i dziwna. Mężczyzna ów powrócił do stadium dziecka bełkoczącego o mirażach martwych ciał przepływających za szybami bulajów; o ciałach, które przyglądały mu się z uwagą i które mimo obrzemia rozpoznął jako zwłoki tych, których widział umierających podczas naszych zwycięskich wypadów. Dodał przy tym, że ów młodzieniec, którego odnaleźliśmy i cisnęliśmy za burtę, był ich przywódcą.

Było to ponure i obłąkańcze gadanie, toteż zakuliśmy Müllera w łańcuchy i srodze go wy chłostaliśmy. Załoga nie była zadowolona, że został ukarany, ale utrzymanie dyscypliny stało się sprawą pierwszorzędą. Odmówiliśmy również żądaniu delegacji, której przewodził mat Zimmer, aby dziwaczną figurkę z kości słoniowej wrzucić do morza.

Dwudziestego czerwca marynarze Bohm i Schmidt, którzy poprzedniego dnia chorowali, dostali ataku szału. Żałowałem, że nie mieliśmy na pokładzie lekarza, jako że życie Niemca jest szczególnie cenne, ale ponieważ obaj mężczyźni snuli obłądne teorie dotyczące przeraźliwej klątwy, postanowiłem przedsięwziąć drastyczne kroki. Załoga przyjęła ów fakt raczej w minorowych nastrojach, Müller natomiast dziwnie się uspokoił. Wieczorem wypuściliśmy go i zaczął wykonywać swe obowiązki bez słowa skargi.

W następnym tygodniu wszyscy byliśmy mocno podenerwowani, wypatrując „Dacji”. Napięcie potęgowało zniknięcie Müllera i Zimmera, którzy bez wątpienia popełnili samobójstwo, udręczeni do niemożliwości trawiącymi ich lękami, chociaż nikt nie widział, by wyskakiwali za burtę. Cieszyłem się, że pozbyłem się Müllera, gdyż nawet jego milczenie wpływało niekorzystnie na załogę.

Wydawało się, że wszyscy wolą teraz milczeć, jakby skrywali w sobie jakiś lęk. Wielu chorowało, lecz nikt nie był dla reszty ciężarem.

Porucznik Klenze pałał z wściekłości, drażniło go właściwie wszystko, nawet błahostka w rodzaju stada delfinów, które coraz liczniej gromadziło się wokół U-29, czy południowego prądu o narastającej sile, którego nie było na naszych mapach.

W końcu stało się jasne, że kompletnie przeoczyliśmy „Dację”. Takie porażki się zdarzają, a my miast się rozczarować, tylko się z tego ucieszyliśmy. W tej sytuacji musieliśmy wracać do Wilhelmshaven. W południe dwudziestego ósmego czerwca skręciliśmy na północny zachód i mimo dość zabawnych przepychanek ze stadem delfinów wreszcie wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Wybuch w maszynowni o drugiej w nocy zupełnie nas zaskoczył. Nie zauważyliśmy żadnego defektu, nie nastąpiło najdrobniejsze zaniedbanie, a mimo to ni stąd, ni zowąd całym okrętem potężnie zatrzęsło.

Porucznik Klenze pospieszył do maszynowni, by stwierdzić, że zbiornik paliwa i większość maszyn zostały bezpowrotnie zniszczone. Mechanicy Raabe i Schneider zginęli na miejscu. Nasza sytuacja natychmiast zrobiła się poważna, bo chociaż chemiczne regeneratory powietrza pozostały nietknięte i choć mogliśmy korzystać z urządzeń do podnoszenia okrętu i wynurzać się na powierzchnię oraz otwierać włazy, póki starczy powietrza i mocy w akumulatorach awaryjnych, nie mogliśmy sterować okrętem ani płynąć dalej. Szukanie ratunku na tratwach równałoby się oddaniu w ręce nieprzyjaciela, nieprzychylnie nastawionego (skądinąd bez przyczyny) wobec wielkiego narodu niemieckiego, a od ataku na „Victory” nasz telegraf nie działał i nie mogliśmy skontaktować się z innym U-Bootem.

Od chwili wypadku do drugiego lipca dryfowaliśmy nieustannie na południe, prawie bez żadnych planów, i nie napotkaliśmy po drodze innych jednostek. Wokół U-29 wciąż krążyły delfiny, co mogło wydać się dziwne, zważywszy na odległość, jaką pokonaliśmy. Rankiem drugiego lipca dojrzeliliśmy okręt wojenny pod banderą Stanów Zjednoczonych i załoga stała się niespokojna, pragnąc oddać się w ich ręce. W końcu porucznik Klenze musiał zastrzelić marynarza Traubego, który szczególnie domagał się tego tak niegodnego dla Niemca rozwiązania. To na pewien czas uspokoiło załogę i nie zauważeni zesliśmy pod wodę.

Następnego dnia z południa nadleciało olbrzymie stado morskich ptaków, a ocean wzburzył się złowrogo. Zamknąwszy luki, oczekiwaliśmy na dalszy rozwój wypadków, gdy uświadomiliśmy sobie, że albo zejdziemy na większą głębokość, albo pochłona nas rosnące bez przerwy fale. Mieliśmy coraz mniej mocy i ciśnienia i chcieliśmy zminimalizować użycie maszyn.

W tym wypadku wszelako nie mieliśmy wyboru.

Nie zanurzyliśmy się na dużą głębokość, a kiedy kilka godzin później morze uspokoiło się, postanowiliśmy wrócić na powierzchnię. Tu pojawiły się nowe kłopoty, okręt bowiem nie reagował na nasze polecenia, mimo iż mechanicy robili, co mogli. Gdy załoga w tym podwodnym więzieniu zaczęła nie na żarty się trwożyć, niektórzy znów podjęli temat figurki porucznika Klenzego, ale widok pistoletu skutecznie zamknął im usta. Dawaliśmy tym nieszczęśnikom możliwie jak najwięcej zajęć, zmuszając do kolejnych prób naprawienia maszyn, które całkiem wysiadły.

Klenze i ja spaliśmy zwykle na zmianę - i to podczas mojej drzemki około piątej nad ranem czwartego lipca wybuchł bunt załogi. Sześciu pozostałych marynarzy, podejrzewając, że byliśmy straceni, wpadło nagle w obłąkańczą furję, zarzucając nam, że nie chcieliśmy przystać na poddanie się jankeskiemu okrętowi wojennemu przed dwoma dniami. To czyniąc, kleli na czym świat stoi i demolowali, co popadło. Ryczeli niby zwierzęta, którymi byli, niszcząc urządzenia pokładowe i sprzęty. Przez cały czas bredzili o rzekomej kłątwe figurki z kości słoniowej oraz o śniadolicym martwym młodzieńcu, który spojrział na nich, a następnie odpłynął. Porucznik Klenze wydawał się sparaliżowany i pozbawiony kompetencji, czego można się było spodziewać po miękkim, zniewieściałym Nadreńczyku. Zastrzeliłem szóstkę marynarzy, było to bowiem konieczne, i upewniłem się, że wszyscy umarli.

Wyrzuciliśmy ciała przez podwójne luki i zostaliśmy na pokładzie U-29 tylko we dwóch. Klenze wydawał się bardzo zdenerwowany i dużo pił. Postanowiliśmy, że przeżyjemy, jak długo się da, wykorzystując nasz spory zapas powietrza i tlenu, który nie ucierpiał wskutek obłąkańczych niszczycielskich ataków struchlałych z prerażenia marynarzy-kretynów. Nasze kompasy, głębokościomierze i inne delikatne instrumenty zostały strzaskane, toteż odtąd wszelkie informacje o naszym położeniu będą przybliżone, oparte na domysłach i przypuszczeniach, zegarkach i kalendarzu, jako że dryf nasz, jego prędkość i kierunek mogliśmy oceniać, wypatrując przez bulaje umiejscowione w kiosku. Na szczęście nasze akumulatory awaryjne miały jeszcze sporo mocy i mogliśmy skorzystać z nich do oświetlenia wnętrza okrętu oraz zasilania zewnętrznego reflektora. Promieniem tego ostatniego często omiataliśmy otchłań dokoła statku, ale widzieliśmy jedynie delfiny, płynące równoległym do naszego kursem. Te delfiny interesowały mnie z punktu widzenia nauki, jako że pospolity *Delphinus delphis* jest ssakiem z rodziny waleni i nie może żyć bez powietrza, ja natomiast obserwowałem jedno w owych stworzeń przez blisko dwie godziny i nie dostrzegłem, by choć raz wynurzyło się, aby zaczerpnąć powietrza.

W miarę upływu czasu Klenze i ja stwierdziliśmy, że wciąż płyniemy na południe, zanurzając się przy tym coraz to głębiej. Dostrzegaliśmy rozmaite okazy fauny i flory i czytaliśmy na ich temat w wolnych chwilach, korzystając z książek, które miałem na pokładzie. Nie mogłem wszelako nie zwrócić uwagi na ograniczoność wiedzy naukowej mego towarzysza. Nie miał pruskiego umysłu, lecz oddawał się bezwartościowym imaginacjom i dociekaniom. Nieuchronność naszej śmierci osobliwie nań wpłynęła i często modlił się w intencji tych wszystkich kobiet, mężczyzn oraz dzieci, których posłał na dno, zapominając, że wszystkie te rzeczy są szlachetne, służą bowiem państwu niemieckiemu. Po pewnym czasie stał się kompletnie niezrównoważony, wpatrywał się całymi godzinami w swój kościany posążek i snuł zabawne opowiadki o zaginionych i zapomnianych rzeczach znajdujących się w morskiej głębinie. Czasami, w formie eksperymentu psychologicznego, pozwalałem mu mówić bez przerwy, przysłuchując się jego wynurzeniom poetyckim, cytatom i opowiadaniom o zatopionych statkach.

Było mi go żal, okropny to widok, gdy cierpi Niemiec, ale nie należał on do ludzi, u których boku można by śmiało umrzeć. Ja ze swej strony byłem dumny, wiedząc, że *Vaterland* nie zapomni mnie, a moi synowie wyrosną na takich jak ja dumnych patriotów.

Dziewiątego sierpnia dojrzeliliśmy dno oceanu i zlustrowaliśmy je w świetle naszego reflektora. Była to rozległa, pofałdowana równina, porośnięta głównie wodorostami i usłana skorupami drobnych mięczaków.

Tu i ówdzie dostrzec można było śliskie obiekty o zdumiewających kształtach, przyozdobione glonami i barnaklami, które, jak oznajmił Klenze, musiały być starymi okrętami spoczywającymi w swych grobach. Dziwiło go jedno - iglica twardej materii wystająca ponad powierzchnię dna oceanu, mierząca u podstawy prawie cztery stopy średnicy, dwie stopy szerokości, o płaskich bokach i gładkich częściach górnych, które schodziły się pod rozwartym kątem.

Powiedziałem, że jest to występ skalny, lecz Klenze stwierdził, że dostrzegł na nich jakieś złobienia. Po chwili zaczął dygotać i odwrócił się od bulaju, jakby zdjęty prerażeniem, mimo to nie potrafił udzielić mi żadnych wyjaśnień, z wyjątkiem tego, że owładnęły nim przestwór, mrok, starożytność, odosobnienie i zagadkowość morskich głębin. Jego umysł był zmęczony, ale ja zawsze pozostaję Niemcem i uderzyły mnie dwie rzeczy - a mianowicie, że U-29 w zdumiewający sposób wytrzymał napór potężnego na dnie oceanu ciśnienia i że tajemnicze delfiny wciąż nam towarzyszyły, nawet tu, na głębokości, gdzie większość biologów wyklucza możliwość istnienia wyższych organizmów. Byłem pewien, że wcześniej błędnie określiłem naszą głębokość, ale tak czy inaczej, musieliśmy zejść dostatecznie daleko, by zjawisko to uznać za godne najwyższej uwagi.

Prędkość dryfu na południe, jak również opadanie oszacowywałem na podstawie organizmów dostrzeganych w wyższych warstwach oceanu.

Była trzecia piętnaście po południu dwunastego sierpnia, kiedy nieszczęsny Klenze do reszty postradał rozum. Był w kiosku, obsługując reflektor, gdy nagle wpadł jak burza do biblioteki, gdzie siedziałem pogrążony w lekturze, a jego twarz zdradzała oznaki szaleństwa. Powtórzę tu, co powiedział, podkreślając słowa, na które kładł szczególny nacisk: - On wzywa! On wzywa! Słyszę go! Musimy iść! - Mówiąc to, wyjął z biurka kościaną figurkę, schował do kieszeni i schwytał mnie za ramię, pragnąc pociągnąć za sobą po zejściówce na pokład. W tej chwili pojąłem, że

zamierzał otworzyć luk i wywlec mnie w odmęty na zewnątrz, co było przejawem samobójczej i morderczej manii, na którą nie byłem należycie przygotowany. Gdy ociągając się, usiłowałem go ułagodzić, stał się brutalniejszy, mówiąc: -Chodźże już, nie zwlekaj. Lepiej się ukorzyć i zyskać przebaczenie, niż stawić opór i zostać potępionym.

W tej sytuacji zaprzestałem prób uspokajania go i rzuciłem mu prosto w twarz, że jest szalony, żałośnie obłąkany. On jednak w ogóle tego nie przyjął i zawołał: - Jeśli jestem obłąkany, to zostałem obdarowany wielką łaską! Niechaj bogowie żałuj ą tego, kto w swej niewzruszoności jest w stanie zachować zdrowe zmysły, aż po odrażający kres! Pójdź i oszalej, póki on przyzywa nas z miłosierdziem!

Ten wybuch jakby złagodził tkwiące w nim napięcie, gdy bowiem skończył, złagodniał, prosząc, by mógł odejść sam, skoro nie chcę mu towarzyszyć. Był Niemcem, ale Nadreńczykiem, i do tego z pospólstwa, a obecnie również potencjalnie groźnym szaleńcem. Godząc się na jego absurdalną prośbę, by mógł popełnić samobójstwo, uwolniłbym się natychmiast od towarzysza, który obecnie stał się dla mnie zagrożeniem.

Poprosiłem, by przed odejściem oddał mi kościaną figurkę, lecz na tę prośbę wybuchnął tak nienormalnym śmiechem, że już jej nie powtórzyłem. Zapytałem potem, czy chce zostawić po sobie jakąś pamiątkę, choćby kosmyk włosów dla rodziny w Niemczech, w razie gdybym został ocalony, ale on raz jeszcze wybuchnął tym dziwnym śmiechem. Zaczął wspinać się po drabinie, ja zaś stanąłem przy dźwigniach, aby uruchamiając maszyny we właściwych odstępach czasu, posłać go, jak tego żądał, na zatracenie. Kiedy stwierdziłem, że opuścił łódź, omiotłem reflektorem okolice, aby spojrzeć nań po raz ostatni. Chciałem ponadto przekonać się, czy ciśnienie wody spłaszczy go, jak teoretycznie powinno być stać, czy może jego ciało, jak w przypadku niezwykłych delfinów, pozostanie nie zmienione. Nie udało mi się nigdzie dojrzeć mego nieżyjącego towarzysza, wokół bowiem zgromadziło się zbyt wiele delfinów.

Tego wieczoru pożałowałem, że ukradkiem nie wyjąłem z kieszeni Klenzego kościanej figurki, gdy odchodził. Jej wspomnienie wciąż mnie nieodparcie fascynowało. Nie mogłem zapomnieć pięknej, młodzieńczej głowy z liśćmi laurowymi dokoła, mimo iż nie mam natury artysty. Żałowałem także, że nie mam z kim rozmawiać. Klenze, choć nie dorównywał mi pod względem umysłowym, był przy najmniej bratnią duszą. Tej nocy nie spałem dobrze i zastanawiałem się, kiedy nastąpi koniec. Rzecz jasna, moje szanse ocalenia były prawie zerowe.

Następnego dnia wszedłem do kiosku i tradycyjnie zlustrowałem reflektorem otoczenie. Od północy widok był identyczny jak przez cztery dni, odkąd ujrzeliśmy dno, ale oszacowałem, że nasz dryf nieco stracił na sile. Gdy skierowałem reflektor na południe, zauważyłem, że dno oceanu opada tam wyraźnym, ostrym uskokiem, a w niektórych miejscach znajdują się dziwnie regularne bloki kamienne wyglądające, jakby ustawiono je tam z rozmysłem. Okręt nie zszedł od razu na samo dno tej otchłani, toteż wkrótce musiałem wyregulować reflektor, by skierować promień ostro ku dołowi. Gwałtowność tej zmiany zaowocowała odłączeniem przewodu i wielominutową zwłoką, jaką zajęła mi naprawa, ale w końcu światło pojawiło się na nowo, zalewając dolinę pode mną.

Nie zwykłem wyrażać otwarcie swych emocji, lecz jak wielkie było moje zdumienie, kiedy ujrzałem to, co ujawnił przede mną promień reflektora. A przecież jako osoba wychowana w najlepszej Prussisch Kultur, nie powinienem być się dziwić, zarówno bowiem geologia, jak i tradycja uczą nas o wielkich przemieszczeniach oceanów i kontynentów. To, co zobaczyłem, było złożonym, długim, chaotycznym skupiskiem ruin, budowli wspaniałych, choć nie należących do stylów znanej nam architektury, w najróżniejszym stadium przetrwania. Większość wyglądała jak wzniesiona z marmuru, połyskując bielą w świetle reflektora i generalnie rzecz biorąc, miałem przed sobą ogromne miasto na dnie wąskiej kotliny z licznymi, stojącymi na uboczu świątyniami i willami na zboczach powyżej. Dachy zapadły się, kolumny popękały, lecz wciąż w miejscu tym panowała aura pradawnej świetności, której nie mógł przyćmić nawet upływ czasu.

Stając naprzeciw Atlantydy, którą dotąd uważałem za mit, stałem się natychmiast najgorliwszym i najbardziej zawziętym z badaczy. Na dnie kotliny płynęła ongiś rzeka, kiedy bowiem przyjrzałem się uważniej, dostrzegłem pozostałości kamiennych i marmurowych mostów oraz nabrzeży, tarasów i pirsów, które niegdyś musiały być dumne i piękne.

W mym entuzjazmie stałem się niemal równie obłąkany i sentymentalny jak nieszczęsny Klenze i bardzo późno zauważyłem, że prąd południowy ustał w końcu zupełnie, pozwalając, by U-29 opadła do tego zatopionego miasta tak, jak samolot osiada na ziemnym lotnisku. Równie późno uświadomiłem sobie, że zniknęły też delfiny.

Po dwóch godzinach okręt osiadł w końcu na brukowanym placu przy kamiennej ścianie kotliny. Po jednej stronie widziałem rozległy fragment miasta aż do starego nasypu rzeki, po drugiej w zdumiewającej bliskości stanąłem przed bogato zdobioną i doskonale zachowaną fasadą ogromnego budynku, najwyraźniej świątyni, wykutej w litej skale. Mogę jedynie domyślać się, kto był twórcą tego tytanicznego dzieła. Potężna fasada ma w sobie liczne zagłębienia i otwory, widnieje w niej wiele rozmaicie rozmieszczonych okien. Pośrodku zieją wielkie, otwarte odrzwia, do których dotrzeć można po gigantycznych długich schodach, które otaczają posągi przypominające jakby spoczywających uczestników bachanalii. W oczy rzucają się przede wszystkim wielkie kolumny i fruzy, zdobione rzeźbami niemożliwej do opisanego urody; wygląda na to, że przedstawiają one wyidealizowane sielankowe scenki oraz procesje kapłanów i kapłanek niosących osobliwe artefakty rytualne ku czci świetlistego bóstwa. Sztuka emanuje fenomenalną wręcz doskonałością, jest w dużej mierze helleńska, a jednak ma w sobie jakiś inny, niesprecyzowany bliżej pierwiastek. To dzięki niemu odnosi się wrażenie, że obcuje się z czymś przeraźliwie starym, z odległym przodkiem, miast bezpośredniego potomka greckiej sztuki klasycznej. Nie mogę również wątpić, że każdy szczegół tej masywnej doskonałości został wykuty w litej skale. Jest to bez wątpienia fragment ściany kotliny, choć nie potrafię pojąć, w jaki sposób wydrążono w kamieniu tak wiele otworów i jak

wygląda owa świątynia od środka. Być może wykorzystane zostały naturalne jaskinie lub nawet cała sieć jaskiń. Ani upływ czasu, ani woda nie zdołały naruszyć pierwotnej chwały tego budzącego grozę miejsca, niewątpliwie świątyni, i dziś po tysiącach od swego stworzenia trwało one nietknięte i niezbrukane, pośród bezkresnej nocy i ciszy oceanicznej otchłani.

Nie pamiętam, ile czasu zmitrężyłem, gapiąc się na zatopione miasto z jego budowlami, łukami, mostami i posągami oraz kolosalną świątynią otoczoną aurą piękna i tajemnicy. Choć wiedziałem, że śmierć jest bliska, zżerała mnie ciekawość i poszukiwałem odpowiedzi w świetle reflektora. Ten jasny promień pozwolił mi poznać wiele szczegółów, lecz nie ujawniał nic, co znajdowało się za drzwiami wykutej w skale świątyni - i po pewnym czasie wyłączyłem prąd, świadom, że muszę go oszczędzać. Reflektor świecił teraz dużo słabiej niż podczas tygodni rejsu. I jakby pod wpływem ciemności, poczułem, że narasta we mnie pragnienie poznania podwodnych sekretów. Ja, Niemiec, powinienem być pierwszy, który przemierzy owe zapomniane od wieków ścieżki!

Wydobyłem i sprawdziłem metalowy, głębinowy kombinezon do nurkowania i przeprowadziłem próbę z przenośną latarką i regeneratorem powietrza. Chociaż powinienem mieć kłopoty z obsługą w pojedynkę podwójnych luków, wierzyłem, że pokonam wszelkie trudności dzięki swym naukowym umiejętnościom i odbędę spacer po ulicach wymarłego miasta.

Szesnastego sierpnia opuściłem U-29 i z mozołem ruszyłem zaślanymi gruzem i mułem uliczkami w kierunku prastarego koryta rzeki. Nie natrafiłem na żadne szkielety czy inne ludzkie szczątki, lecz monety i rzeźby, które znalazłem, były z punktu widzenia archeologa prawdziwym skarbem. Nie mogę teraz nic więcej powiedzieć na ten temat, a jedynie wyrazić swą trwogę wobec kultury znajdującej się u szczytu swej chwały, kiedy lud jaskiniowy zamieszkiwał tereny Europy, a Nil wpływał przez nikogo nie oglądany do morza. Inni, kierowani tym manuskrypcem, jeżeli kiedykolwiek zostanie odnaleziony, muszą zgłębić tajemnice, które ja mogę jedynie przybliżyć w formie mglistych aluzji. Wróciłem do łodzi, gdy moje baterie elektryczne zaczęły słabnąć, postanawiając zbadać kamienną świątynię dnia następnego.

Następnego dnia, gdy me pragnienie odkrycia sekretu świątyni stało się nie do odparcia, doznałem ogromnego rozczarowania, okazało się bowiem, że rzeczy niezbędne do wymiany w przenośnej latarce uległy zniszczeniu podczas buntu tych cuchnących wieprzy w lipcu. Moja wściekłość nie miała sobie równych, a mimo to niemiecki rozsądek nie pozwolił mi wejść bez źródła światła do mrocznego wnętrza kamiennej świątyni, która mogła okazać się kryjówką jakiegoś nieopisanego morskiego potwora lub labiryntem, z którego po ciemku nigdy nie znalazłbym wyjścia. Mogłem jedynie ustawić gasnący reflektor we właściwym kierunku i w jego świetle zbliżyć się do świątyni, wejść po jej schodach i zbadać zewnętrzne rzeźbienia.

Promień światła wpływał do wnętrza budowli pod kątem i choć usiłowałem zajrzeć do środka, moje wysiłki spełzyły na niczym. Nie mogłem dostrzec nawet sufitu i choć widziałem na krok lub dwa poza próg, sprawdzając uprzednio laską podłogę, nie odważyłem się postąpić dalej. Co więcej, po raz pierwszy w życiu ogarnął mnie paniczny lęk. Zacząłem zdawać sobie sprawę, skąd wzięły się pewne chimery nieszczęsnego Klenzego, kiedy bowiem świątynia zaczęła przyciągać mnie coraz bardziej ku sobie, w przypiływie nagłej, paraliżującej grozy, narastającej z każdą chwilą, zacząłem lękać się jej mrocznych otchłani. Powróciwszy do okrętu, wyłączyłem światła i siedziałem w mroku, rozmyślając. Musiałem oszczędzać prąd na sytuacje awaryjne.

Sobotę spędziłem w egipskich ciemnościach dręczony myślami i wspomnieniami, grożącymi zdruzgotaniem mej silnej niemieckiej woli. KlENZE oszalał i umarł, zanim dotarł do tej złowieszczej pozostałości z odległej, dawno zapomnianej przeszłości, i radził, abym i ja uczynił to samo. Czy zaiste los oszczędził mi zdrowe zmysły tylko po to, by sprowadzić na mnie bezlitośnie koniec bardziej przerażający i okrutny, niż można by sobie wyobrazić? Nerwy miałem zszarpane i uznałem, że powinienem porzucić rozmyślania, godne jeno ludzi słabszej natury.

Sobotniej nocy nie mogłem zasnąć, i nie myśląc o przyszłości, włączyłem światła. Drażniło mnie, że prądu nie starczy mi na równi z powietrzem i zaopatrzeniem. Ponownie nawiedzały mnie myśli o eutanazji i raz jeszcze przyjrzałem się bacznie memu pistoletowi. Nad ranem musiałem zasnąć z włączonym światłem, bo gdy obudziłem się w południe, baterie były do cna wyczerpane. Zapaliłem kilka zapałek, jedną po drugiej, żałując, że z braku przezorności wypaliliśmy podczas rejsu kilka znajdujących się na pokładzie świec.

Po spaleniu ostatniej zapałki, którą odważyłem się zużyć, siedziałem czas jakiś po ciemku w kompletnym bezruchu. Rozważając nieuchronny koniec, przebiegłem w myślach ostatnie wypadki, budząc w sobie uspięne dotąd wrażenie, na które człowiek słabszy i bardziej zabobonny niewątpliwie musiałby się wzdygnąć - głowa świetlistego bóstwa na płaskorzeźbach na ścianie świątyni jest identyczna jak u figurki, którą miał przy sobie martwy marynarz, a teraz KlENZE zabrał ze sobą w otchłań.

Ten zbieg okoliczności nieco mnie poruszył, ale jeszcze nie przeraził. Tylko gorszy myśliciel spieszy tłumaczyć złożone i osobliwe zdarzenia prymitywnymi paranormalnymi wyjaśnieniami. Zbieg okoliczności był dziwny, ale ja miałem nazbyt racjonalną naturę, by łączyć ze sobą przesłanki, nie mające ze sobą nic wspólnego lub nie związane w żaden jawny sposób z tragicznymi wypadkami, biorącymi swój początek od sprawy „Victory” i prowadzącymi poprzez łańcuch zdarzeń aż do mego obecnego, dość opłakanego położenia. Ponieważ potrzebowałem wypoczynku, wzięłem środek nasenny i ułożyłem się do snu. Mój niepokój odbijał się nawet we snach, wydawało mi się bowiem, że słyszę krzyki tonących i widzę twarze umarłych przyklepione do bulajów statku. Wśród tych umarłych twarzy jedna była żywą, drwiącą, wykrzywioną ironiczną twarzą młodzieńca z figurki z kości.

Muszę uważać, jak opowiem o mym dziwnym przebudzeniu, gdyż mam rozstrojone nerwy i wydarzenia rzeczywiste mieszają się z halucynacjami. Psychologicznie rzecz biorąc, mój przypadek jest wielce interesujący, aż szkoda, że nie może być przebadany przez kompetentnych niemieckich lekarzy specjalistów. Od momentu gdy otworzyłem oczy, pierwsze, czego pragnąłem, to odwiedzić kamienną świątynię. Pragnienie to narastało z każdą chwilą, a jego przeciwieństwem był rodzący się gdzieś we mnie, bliżej niesprecyzowany lęk. Niedługo potem odniosłem wrażenie, że dostrzegam światło. Mimo ciemności i wygaśniętych baterii wydawało mi się, że widzę jakby fosforescencję jarzącą się w wodzie za okienkiem bulaju od strony świątyni. Zanim jednak zdołałem to zbadać, pojawiło się trzecie wrażenie, które z powodu swej irracjonalności nakazało mi wątpić w obiektywność tego, co mogły zarejestrować zmysły. Było to złudzenie słuchowe, wrażenie obecności rytmicznego, melodyjnego dźwięku przypominającego dziki, nieujarzmiony hymn lub chorał dochodzący spoza w pełni dźwiękoszczelnego kadłuba U-29. Przeświadczony o mych psychicznych zaburzeniach, zapaliłem kilka zapalek i przyrządziłem sobie roztwór potężnej dawki bromu mający uspokoić mnie i w rezultacie uwolnić od iluzji słuchowych. Fosforescencja pozostała jednak i trudno mi było przezwyciężyć dziecinny impuls zbliżenia się do bulaju i odnalezienia wzrokiem jej źródła. Była tak upiornie realna, że już wkrótce za jej pomocą zdołałem dostrzec wszystkie otaczające mnie, a znajome obiekty, podobnie jak pustą szklankę po bromie, którą wcześniej postawiłem „w ciemności” w nie określonym bliżej miejscu. To dało mi wiele do myślenia i przeszedłszy przez kajutę, zatrzymałem się przy bulaju, dotykając szkła. Było na swoim miejscu. Wszystko wyglądało normalnie. Teraz wiedziałem już, że światło albo istniało naprawdę, albo też element halucynacji był tak silny i zafiksowany, że nic nie było w stanie go unicestwić, toteż zaprzestając dalszego stawiania oporu, wszedłem do kiosku, aby odnaleźć źródło owej luminescencji. Może był to inny U-Boot, a wraz z nim nadchodziła nadzieja ocalenia?

Zdaję sobie sprawę, że czytelnik najprawdopodobniej nie przyjmie tego, o czym teraz napiszę, jako prawdy obiektywnej, i bardzo dobrze, bo skoro wydarzenia wykraczają poza granice prawa naturalnego, muszą być one z konieczności subiektywnym i nierzeczywistym tworem mego przemęczonego, zaburzonego umysłu.

Gdy dotarłem do kiosku, stwierdziłem, że otchłań wcale nie jest tak mocno oświetlona, jak mi się wydawało. W pobliżu nie było świecących roślin ani zwierząt, a miasto opadające w dół, ku rzece, tonęło w mroku. To, co ujrzałem, nie było spektakularne, groteskowe ani przerażające, a jednak odebrało mi resztki wiary w przytomność umysłu. Drzwi bowiem i okna podwodnej świątyni wykutej w kamieniu z bocznej pały intensywną migotliwą poświatą, jakby w jej wnętrzu gdzieś głęboko, na ołtarzu płonął dziwny ogień.

Późniejsze wypadki zdają mi się dość chaotyczne.

Gdy tak patrzyłem na oświetlone drzwi i okna, doznałem najbardziej osobliwych wizji, wizji tak nieprawdopodobnych, że nawet trudno mi je zrelacjonować. Wydawało mi się, że widzę obiekty wewnątrz świątyni, obiekty zarówno unieruchomione, jak i poruszające się, i odniosłem wrażenie, że słyszę znów ten nierzeczywisty śpiew, który doszedł mnie po raz pierwszy po przebudzeniu. Znów ogarnęły mnie myśli i lęki koncentrujące się wokół osoby młodzieńca z morza i kościanej figurki, której wizerunek przedstawiono tylekroć na frezach i kolumnach świątyni znajdującej się przede mną. Pomyślałem o nieszczęsnym Klenze' u i zastanawiałem się, gdzie spoczęło jego ciało z figurką, którą zabrał z sobą w odmet. Ostrzegał mnie przed czymś, ale go nie usłuchałem, on wszelako był tylko miłym, uległym Nadreńczykiem, który oszalał w sytuacji, z którą Prusak był gotów poradzić sobie bez większego trudu.

Reszta jest bardzo prosta. Pragnienie odwiedzenia i wejścia do świątyni stało się teraz dla mnie niewytłumaczalnym imperatywem, rozkazem, któremu nie potrafię się już dłużej opierać. Nie panuję już nad swą dotąd niezłomną, niemiecką wolą i potrafię podejmować decyzje jedynie dotyczące najbardziej błahych spraw.

Takie samo szaleństwo popchnęło Klenzego do śmierci, skłoniło go do wyjścia bez skafandra na dno oceanu, ja jestem jednak Prusakiem, człowiekiem twardym i przytomnym, zamierzam, jak długo się da, ocalić tę resztkę rozsądku i woli, jaka mi jeszcze pozostała. Kiedy zorientowałem się, że prędej czy później opuszczę okręt, przygotowałem mój kombinezon, hełm i regenerator powietrza do natychmiastowego założenia, po czym bezzwłocznie zabrałem się do spisania tej kroniki w nadziei, że któregoś dnia dotrze ona do świata powyżej.

Włożę manuskrypt do butelki i wrzucę do morza, z chwilą gdy na zawsze opuszczę mój okręt. Nie lękam się, nawet proroctwa szaleńca Klenzego nie budzą we mnie strachu. To, co ujrzałem, nie może być prawdą i zdaję sobie sprawę, że to szaleństwo i utrata woli doprowadzi mnie co najwyżej do śmierci przez uduszenie, gdy wyczerpie się mój zapas tlenu. Światło w świątyni jest czystą iluzją, złudzeniem i odejdę spokojnie, jak prawdziwy Niemiec, umierając w czarnych i zapomnianych głębinach. Demoniczny śmiech, który słyszę, pisząc te słowa, dochodzi wyłącznie z mego własnego, odmawiającego posłuszeństwa mózgu.

Teraz zaś skrętnie włożę swój kombinezon i ruszę dzielnie po schodach w głąb tej pierwotnej świątyni, owego cichego sekretu bezdennych morskich głębin i niezmierzonej otchłani czasu.

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[Początek]